

# Napisała Czesława Waksman

*Ku pamięci rodziców*

*Córeczce mojej Lenusi poświęcam*

## „Mój Pamiętnik”

Urodziłam się dnia 7 czerwca 1922 r. Nazywam się Cesia Waksman. Ojciec mój był księgowym, matka krawcową. Mam dwie siostry Helę i Dziunię i jednego brata Józka.

Józiek urodził się dnia 11 stycznia 1919 r. Hela dnia 28 lutego 1926 r. zaś najmłodsza Dziunia urodziła się dnia 30 listopada 1932 r. Wszyscy mieszkaliśmy w Lublinie. Do 31 maja 1932 r. mieszkaliśmy przy ulicy 3 Maja 8 m. 28, od roku 1932 do 1939, aż do wybuchu wojny mieszkaliśmy przy ul. Narutowicza 20 m. 20.

Tatuś mój był wysoki, tęgi, o poczciwej twarzy, z natury optymistą. Lubił bardzo grać w karty i wszyscy odziedziczyliśmy to po nim. Był bardzo dobry dla nas, kochał nas i wszelkimi siłami starał się wykierować nas na ludzi. Przykładał dużą wagę do nauki i od najmłodszych lat posyłał nas do gimnazjum.

Mamusię moją widzę przed oczyma zawsze czemś zajęta. Stale szyje, ceruje, pracuje, pierze, nigdy nie odpoczywa. Lubi pracować, nie może siedzieć beczynnie. Stale mam przed oczyma jej piękną twarz o niebieskich zamyślonych oczach i ręce jej białe jak śnieg o liliowych żyłach. Te drogie kochające ręce, które pracą swą chcą, aby nigdy nam nic nie zabrakło, a spojrzenie oczu chce przenikać czy nam czego nie brak. U rodziców moich stale przebijała troska o dzieci. Pamiętam nie raz gdy ktoś z nas był chory to kochający nas rodzice nie spali całą noc i całym sercem pragnęli ukoić nasze cierpienia. Tak zdaje się nikt nie potrafi kochać jak rodzice Żydzi.

Brat mój Józiek, najstarszy z nas wszystkich, był bardzo zgryźliwy, lubiał z nami się drażnić, a przede wszystkim ze mną, nie raz przez to płakałam. Brał książki z czytelnicy i nie dał mi nigdy skończyć czytać. Rodziców kochał bardzo.

Hela była bardzo mądra od najmłodszych lat zdolna, chętna do nauki, z natury bardzo uparta. Tatuś zawsze mówił: „Hela gdy powie nie, to nic nie da się zrobić”. Z natury bardzo dobra. Lubiła siadać na małym stołeczku przy piecu i wpatrywać się swoimi oczami w dal. Strasznie grymasiła przy jedzeniu i przez to nazywaliśmy ją wszyscy francuską jażą (czytając odwrotnie przeżywaliśmy

ją „akcus narf azaj”). Była typem czysto aryjskim.

Dziunia najmłodsza z nas wszystkich, była dziewczynką mądra, o czarnych dużych oczach i włosach czarnych jak aksamit. Była ulubienicą nas wszystkich. Nad wiek rozwinięta. Bardzo dużo chorowała. Pamiętam gdy chorowała na dyfteryt wtedy sądny dzień panował w domu, stale staliśmy przed szpitalem Dzieciątka Jezus przy ulicy Szpitalnej gdzie leżała i dowiadywaliśmy się o jej zdrowie. Gdy po raz pierwszy przełknęła kawałek czekolady, święto zapanowało u nas. Została uratowana.

Przejdę do opisu swojego. Wysoka, szczupła, przystojna, nie byłam podobną do żydówki, lubiłam bardzo marzyć, marzenie było drugim moim życiem.

Muszę nadmienić o naszej dalszej rodzinie. Tatuś mój miał trzy siostry: Felę, Mirlę i Perlę. Oraz dwóch braci: Izaaka i Leon. Najbardziej byliśmy zżyci z ciotką Felą i mężem jej, wujkiem Maksem. Bardzo lubiliśmy do nich jechać do Lwowa, gdzie mieszkali przy ul. Hołówki 11, a gdy przyjeżdżali do nas radość nasza nie miała granic.

Muszę napomknąć o wujku Izaaku, który miał dwoje dzieci: Halusię i Muńdzia. Mieszkali w Janowie, ale często odwiedzaliśmy się nawzajem.

Mamusia moja miała dwie siostry i dwóch braci, z tych jedna siostra Szejwa i brat Moszek mieszkali w Charbinie, drugi brat Yci mieszkał w Sosnowcu. Widziałam go dwa razy w życiu.

Druga siostra Rywa mieszkała z córką Franią w Lublinie z nimi byliśmy bardzo zżyci. Mieszkały one do roku 1935, do śmierci babci mojej, przy ulicy 3-go Maja 6 m. 31 tzn., następnie mieszkały na Małej Czechówce. Ciotka moja rozeszła się z mężem. Początkowo, tzn. do śmierci babci, mieszkała razem z nią i córką swoją. Franie pamiętam jako małą dziewczynkę, gdy przyszła do nas w bordo paletku nie umiała mówić po polsku, mówiła tylko „gniewać się”, „nie gniewać się”, przy tem kołysała się na nogach jak kaczką. W późniejszych latach wyrosła na ładną dziewczynę. Ciotka moja była bardzo nabożna, na nas mówiła, że jesteśmy „gojami”. W sobotę nic nie robiła. W ogóle była dziwna. Pamiętam gdy Frania zdała do 7 klasy gimnazjalnej wtedy do niej powiedziała: „Popatrz no ty, taka duża dziewczyna, będziesz chodziła z takimi małymi dziewczynkami. Może zrobić tobie warkoczyki?”. Na to Frania odpowiedziała: „To nie pójde do szkoły”. Wtedy ona mówiła: „Franiu, ja cię proszę, idź do szkoły. Ja Tobie kupię fartuszek z białym kołnierzykiem. Zobaczysz jak będziesz ładnie wyglądała”. Frania przebywała często u nas, kochaliśmy ją wszyscy bardzo.

\*\*\*

Jest rok 1939, zbliża się „sajder”, uroczysta noc Wielkanocna. Wszyscy tzn. dzieci kładziemy się na łózkach, udajemy że śpimy i czekamy aż ojciec powie „kindałach, kindałach śtajt ojf”. Leżymy i z biciem serca słyszymy jak rodzic krzątają się nakrywają do stołu, przygotowują różne przysmaki ku naszemu zadowoleniu i nagle słyszymy głos kochający ojca: „kindałach kindałach, śtajt ojf” i dziś po tylu latach, kiedy jest Wielkanoc zdaje mi się, że ten najdroższy głos znowu mnie zawoła...

Przybiegliśmy do stołu, nakrytego białym obrusem, zastawionego różnymi przysmakami, sześcioma lichtarzami. Matka modliła się przy świecach, ojciec na honorowym miejscu wyjmując z macynaszu zrobionego przez moją babcię macę, rozdziela ją, następnie modli się, po modlitwie jemy. Wesoło jest, przytulnie, uroczyście i tak dobrze, och jak dobrze.

Jest to nasza ostatnia wspólna Wielkanoc, która się już nigdy nie powtórzy i nie tylko nasza wspólna, ale setek tysięcy rodzin żydowskich, które zginęły śmiercią męczeńską.

Pod koniec czerwca w 1939 r. wyjechaliśmy na letnisko do Nowego Dworu. Było nam bardzo wesoło. Żyliśmy beztrosko, bawiliśmy się, grali w karty. Czas upływał mile. Nagle radość naszą przerwała wieść o wybuchu wojny. Spakowaliśmy rzeczy i natychmiast wyjechaliśmy do Lublina. W Lublinie widzieliśmy już uciekinierów ze wszystkich stron Polski. Smutek zapanował w całym mieście. Nie zdawaliśmy sobie sprawy ze zgrozy wojny. Pierwszy nalot na Lublin był okropny. Brat mój był w Ubezpieczalni Społecznej. Wyleciałyśmy z mamusią na ulicę, aby szukać brata, ale brat już wracał do domu, wystraszony, bo bomba padła na teren Ubezpieczalni, a on był w pobliżu. Po raz pierwszy widzieliśmy ślady zniszczenia, ale to nie było najgorsze.

Tragedia nasza rozpoczęła się od chwili wkroczenia Niemców. Zabrali wszystkich mężczyzn żydowskich z domu. Uprosiłam jednego Niemca, aby zostawił tatusia, co też uczynił. Józka zabrali.

Chodziłam z mamusią dowiadywać się, gdzie zabrali mężczyzn, dowiedziałyśmy się, że do koszar. Poszłyśmy tam. Rozmawiałam z jednym oficerem niemieckim i on pozwolił mi wejść na plac po brata. Szukałam go długo, aż znalazłam, był on pierwszym mężczyzną, który wyszedł z koszar. Już wtedy, to znaczy drugiego dnia, odczuwało się antysemityzm. Brat mój od tej chwili postanowił odejść z domu, dwa razy odchodził i wracał, za trzecim razem odszedł w stronę Piask, gdzie byli Sowieci. Pożegnał się z nami czule. Czy przeczuwałaś wtedy Józko, że ostatni raz widzisz tatusia, że zginie strasznie, że tyle przejdziemy?

Odszedł, smutno nam było, tak bardzo smutno, ale nie mogliśmy go zatrzymać, bo nie wiadomo było, co nas czeka. Było nam stale gorzej, a zwłaszcza mężczyznom. Tatuś chciał przejść granicę ze mną. Pożegnaliśmy się czule z mamusią i z siostrzyczkami i wyjechaliśmy do Bełzec, aby przejść na stronę Sowiecką. Ale któż nie zna tęsknoty? Tęsknota wzywała nas z powrotem do mamusi

i rodzeństwa. Wróciliśmy do Lublina dnia 1 grudnia 1939 r.

W dniu tym Niemcy dali rozkaz, aby wszyscy Żydzi nałożyli żółtą gwiazdę, znak Syjonu, znak rozpoznawczy, znak przekleństwa i nienawiści. W grudniu kazali wszystkim mężczyznom iść na Plac Peowiaków, trzymali ich tam cały dzień, każąc im robić różne ćwiczenia. Wieczorem przyszedł tatuś zmordowany.

W marcu 1940 roku wyrzucili nas z ulicy Narutowicza. Tatuś wystarał się u Bursztyna, gdzie prowadził buchalterię, aby zamieszkać w składzie jego. Położyliśmy podłogę, postawiliśmy kuchnię i zamieszkaliśmy tam. Tatuś od chwili założenia opaski (łatę żółtą zamieniono później na opaskę) nie wychodził na ulicę, aby nie kłaniać się władcom niemieckim, bo tak panowie kazali robić. Codziennie były łapanki, codziennie strzelanina, codziennie kogoś z Żydów zabijano. Pamięta to każdy Żyd, który przeżył to piekło. Pewnej nocy, gdy wszyscy spaliśmy nagle usłyszeliśmy, że ktoś kolbami dobija się do drzwi krzycząc „aufmachen, verfluchte jude”. Otworzyliśmy, tatuś nie zdążył się schować. Weszli, zasłoniliśmy tatusia, ale Niemcy odgonili nas i uderzyli ojca nahajką, mojego ojca, który nigdy nic w życiu nie zrobił złego. Wywlekli go w ciemną noc, nie wiadomo gdzie. Całą noc płakałyśmy, a rano pobiegłyśmy do miasta, aby się dowiedzieć, gdzie uprowadzili mężczyzn. Dowiedzieliśmy się, że na Plac Lipowy. Poszłyśmy tam. Było tam już pełno kobiet tak samo nieszczęśliwych jak my, tak samo przerażonych. Czekaliśmy cierpliwie. Nagle zobaczyłyśmy, że prowadzą mężczyzn, dowiedziałyśmy się, że do Fabryki Plage i Laśkiewicza.

Zrobiłyśmy dla tatusia prędko obiad i poszłyśmy do ojca. Uprosiłam Ukraińca i wpuścił mnie. Szukałam długo tatusia, aż zobaczyłam go i zdrętwiałam. Był pobity, miał ręce skaleczone i nad okiem zastygła krew, nosił żelazne długie sztaby ponad swoje siły. Poprosiłam Ukraińca i pozwolił, aby ojciec jadł. Wzięłam ojca za rękę skaleczoną, pogłaskałam, wytarłam zakrzepłą krew, spytałam się czy bardzo boli, na to mi odpowiedział: „To nic Cesium, to nic”. Siadł na kamieniu i jadł, jadł chciwie, a oczy jego patrzyły w dal jak u tropionego zwierza. Niemiec wygonił mnie, a tatuś poszedł znowu do pracy, dysząc ciężko. Mamusia przez znajomych wystarała się, ażeby ojca zwolniono. Uwolnili go jako chorego. Wrócił do domu. Na noc szedł spać do sklepu Byrsztyna, skąd mieliśmy klucze.

Katusze... Katusze... bez nadziei na lepsze. Zewsząd niebezpieczeństwo, znikąd ratunku. Wydani na zagładę, bez nadziei na jutro. Strach i strach wyciera z oczu wszystkich Żydów.

Jest rok 1941, wiosenny poranek. Nagle krzyk przerażenia przerwał ciszę. To wysiedlali Żydów. Gonili [ich] z wszystkich stron. Co ktoś mógł złapać w rękę, starcy i dzieci, chorzy, połamani. Wszystkich goniono. Złapaliśmy co najważniejsze do ubrania. Wygonili nas na Komendę Policji na

ulicę Zieloną, stamtąd samochodami zawieźli nas na stację. Włoczono nas do wagonu bydłęcego, ciasno, zaduch nie było gdzie stać. Ludzie mdleli z przemęczenia. Wieźli nas w nieznane, nie wiedzieliśmy co z nami zrobią. Ciemno... ludzie robią pod siebie, kał leje się strumieniami. Cóż z nami zrobią. Czy doczekamy jutra. Noc jest straszna, dzień budzi nadzieję. Rozplombowano wagony. Wyszliśmy na dwór. Ciemno, zawieja, deszcz... Ustawili nas ósemkami. Ojca wzięliśmy do środka, aby go nikt nie uderzył. Pilnowaliśmy go jak dziecko. Gnali nas 12 kilometrów. Dzieci umierały po drodze. Zimno... Głód... Orszak godny podziwu. Zmęczeni, okręceni w szmaty, zachrypnięci, dobrnęliśmy do miejsca przeznaczenia do Siedliszcza. W Siedliszczu rozpuścili nas.

Zaczęliśmy stukać do mieszkań żydowskich. Otworzyli nam. Dali nam miejsce do spania. Byliśmy tam kilka dni, następnie wynajęliśmy mieszkanie. Mamusia powróciła do Lublina, wystarała się o pozwolenie odebrania mebli, które sprzedawała. Zamieszkała w Lublinie. Ja przyjechałam do niej. Wystarała się o mieszkanie przy ulicy Grodzkiej i zarabiała na całą rodzinę szyjąc i handlując.

Tymczasem w Lublinie tworzyło się getto. Ogrodzono nas drutami z wszystkich stron. Codziennie wywożono ludzi na zagładę. Żyło się z dnia na dzień, jeśli to życiem można nazwać. Często jeździłam do Siedliszcza. Ale później już nie można było, gdyż Żydom nie można było wyjść z getta.

Czyż nie pamiętasz ty Żydzie jak stałeś za kratami tęsknym wzrokiem obejmując wolność, która była za drutami? Czyż nie myślałeś [o tym] jak pięknie [jest] na świecie, a Ty chcesz żyć, ach, żyć, a żyć Ci nie dają? Czyż nie pamiętasz jak budziłaś się i myślałaś, co nam następnego dnia przyniesie? Czy każda żydowska matka nie drżała o swe dziecko?

Co raz było mniej Żydów, co raz więcej miejsca w gettcie. Aż przyszedł marzec. Pogodnie było na świecie. Wiosna budziła się do życia. Spałam z matką w łóżku, gdy nagle płacz i krzyk obudził nas. Wstałyśmy przerażone. Wybiegłam z mamą na ulicę. Widok był straszny. Pełno trupów wszędzie. Ulica szeroko zasłana była trupami młodych pięknych dziewcząt, dziećmi co odłączono od matek. Na wszystkich twarzach zastygł ból.

Zobaczyłam z daleka przyjaciółkę Dorke, która z płaczem powiedziała, że zabrali jej całą rodzinę, została z ojcem. Miała do mnie później przyjść, ale więcej jej nie widziałam. Zginęła ta wierna moja przyjaciółka, z którą nie rozłączałam się od dziesięciu lat. Jej przerażone oczy, gdy przybiegła do mnie, wspominam często, bo drugiej w życiu przyjaciółki już nie znalazłam.

Ubrałyśmy się z matką w co mogłyśmy. Matka wydostała się poza obręb getta, ja nie mogłam przejść gdyż Ukraińcy, pilnowali nas. Wtedy matka moja podeszła do Ukraińca i powiedziała „że córka jej aryjka” i weszła do mieszkającej w getcie krawcowej celem odebrania materiału, który

dała do szycia. Ukraińiec pozwolił mi wyjść, myślał że jestem Polką. Udałyśmy się z matką na stację i stamtąd pojechałyśmy do Siedliszcza do ojca i rodzeństwa. Wszyscy w miasteczku dziwili się jak mogłyśmy się wydostać z tego piekła.

Zamieszkałyśmy wszyscy w Siedliszczu. Mamusia szła dla chłopców. Ale i w Siedliszczu nie długo panował spokój. Niemcy zrobili obóz. Ja zapisałam się do melioracji rzeki. Hela do pracy drogowej. Na razie nie chodziłam do pracy. Hela codziennie chodziła 8 km do kamieniołomów. Pewnego poranka Hela źle się czuła, nie mogła iść do pracy. Prosiła, abym za nią poszła, drażniłam się z nią, że nie pójdę, ale żał mi jej było i poszłam. Przy pracy czas schodził szybko, kopałam kamienie. Nagle zrobił się ruch, bo przyszedł główny drogomistrz Kłossowski. Podszedł do mnie i rozpoczął rozmowę. Namawiał mnie, abym się zapisała też do roboty drogowej. Powiedziałam, że zapisze się, o ile on zapisze również i mego ojca. Zgodził się na to chętnie.

Czy pamiętasz Helu i Dziuniu jak ciężko było dostać się do pracy? Jak Judenrad za pieniądze zapisywał ludzi? Jak wydawali biedaków, którzy byli w bożnicy, na śmierć?

Chodziłam odtąd codziennie do pracy za ojca. Kłossowski przychodził codziennie do kopalni i prawił mi komplementy. Raz przyszedł do domu i zapoznał moją mamusię. Dni wlokły się ciężko, ale byliśmy szczęśliwi, że jesteście razem, że nas nie rozdzielono.

Dnia 20 maja gdy jak zawsze mieliśmy się udać do pracy zobaczyliśmy miasteczko ze wszystkich stron okrążone przez gestapo. Ci co pracowali ustawili się czwórkami. Kłossowski wybierał z szeregu tych, których nie znał. Kazał tatusiowi wystąpić i iść w stronę niepracujących, a to równało się śmierci. Wtedy tatuś powiedział, że jest ojcem Cesi Waksman. Kłossowski na to kazał mu zostać w szeregu. Poszliśmy do pracy płacząc, gdyż każdy zostawił w miasteczku kogoś bliskiego. Dzień wlokł się powoli. Martwiłam się [o to,] co się stało z matką i siostrzyczką Dziunią. Frania martwiła się [o to,] co z jej mamą. Pod wieczór wróciliśmy do miasta. W miasteczku panowała cisza, nikogo nie było zostali ci tylko, którzy poszli do roboty. Kazali nam stanąć w szeregu. Stanęliśmy. Cisza panowała dookoła, nagle Kłossowski mnie zawołał i pozwolił iść do domu... Pobiełam jak szalona. Tam zastałam mamusię i siostrzyczkę. Czyż zdołam opisać radość, która mnie opanowała. Mamusia opowiedziała jak ocalała z Dziunią. Chłopi złapali ją z siostrzyczką i zaprowadzili na plac śmierci. Wtedy Kłossowski poznał ją, kazał wyjść z siostrzyczką z szeregu, krzyknął dlaczego nie przyszła do pracy, podszedł do Niemca i powiedział, że to jego najlepsza pracownica i tak mamusia ocalała z siostrzyczką. Ciocia Rywa odeszła z grupą skazańców. Ci co odeszli poszli na straszną śmierć do Sobiboru. Niewinne dzieci, matki, starcy, ojcowie, poszli dlatego, że byli Żydami, że nic złego nikomu nie zrobili, dlatego że mieli długi nos i czarne tęskniące oczy.

Chodziliśmy codziennie do pracy, Frania mieszkała z nami. Po pracy gotowaliśmy zupy.

Czy pamiętacie siostrzyczki moje te zupy, których wciąż było za mało, bo ciężko było o chleb? Czy pamiętacie jak z rozkoszą jadłyśmy ten czarny chleb i jak nam smakował? Czy pamiętacie jak tatuś stale łaknął chleba?

Żyliśmy, pracując codziennie. [Do pracy] chodziliśmy 8 km w jedną stronę, ale te 8 km było niczym, bo cóż to miało za znaczenie, gdy byliśmy razem.

Dnia 20 października nadszedł ostatni nasz dzień pobytu w Siedliszczu. Przyjechało gestapo ustawiło nas w szeregu i wywiozło. Matka ze względu na siostrzyczkę pozostała na wsi celem ukrywania się. Nas popędzono do Nowosi[ó]łek do obozu.

W obozie zrobili selekcję. Odrywano męża od żony, ojca i matkę od dzieci. Helusia bardzo źle wyglądała. Ja z Franią namalowałyśmy jej policzki, aby mogła dostać się do obozu. Selekcję robił prezes Judenradu z Siedliszcza. Tatusia przeznaczył na śmierć. Wtedy doszłam do gestapowca i powiedziałam, że jeśli zabierze tatusia, to ja też pójdę. Wtedy kazał tatusiowi wejść do obozu. Miałam dlatego szczęście, gdyż nie byłam podobna do Żydówki.

Weszliśmy do obozu, do starego młyna, gdzie dotychczas baraszkowały myszy. Kobiety spały na pierwszym piętrze, mężczyźni na drugim. I znowu szczęście, że razem, na jak długo nie wiadomo. Razem... a jednak oddzielnie, bo mamusi z siostrzyczką nie ma przy nas. Na sali gdzie nas spędzono spało kilkaset osób. Prycze były trzypiętrowe. Spałam z siostrą i kuzynką na trzeciej pryczy. Codziennie, mróz nie mróz, pędzono nas do pracy.

Dostawaliśmy porcję chleba około 30 dkg dziennie, kawę czarną i zupkę. Chleb zjadaliśmy od razu. Głowę myliśmy w kawie. Co wieczór schodziliśmy na dół gdzie był duży przedsionek i tam śpiewaliśmy tęskne piosenki. Pamiętam tatusia jak opierał się o belki w żółtym zakiecie od pidzamy w brązowe pasy, wsłuchany w piosenki, a oczy patrzyły w dal. O czym myślał, nie wiem. Może o mamie i córce, a może o synku, który nie był w tym piekle. Dostałyśmy wiadomość, gdzie znajduje się mamusia. Udałam się tam, znalazłam mamusię na Chojnach Starych u Hołuba, gdzie szyla i ukrywała się z Dziunią. Radość nasza była wielka. Byłam tam jeden dzień. Następnie wróciłam do obozu.

W obozie życie upływało monotennie. Tatuś nie raz ukraść buraka i gotował nam. Och, jak to smakowało. ...tyle ludzi było na sali. Od wesz aż się roiło. Pamiętasz Helu jak przyjemnie było szukać wszy? Było to jedynym naszym zajęciem po przyjsciu z pracy do obozu. Ale i ten raj nie trwał długo. Dochodziły nas słuchy, że mają zlikwidować obóz. Tatuś wtedy postanowił uciec i my uważaliśmy, że tak powinien zrobić, bo wszyscy się nie uratują. Odszedł dnia 18.XI.1942 r. do

mamusi. My zostaliśmy, czekając co będzie. Dnia 20 grudnia 1942 r., gdy rano chcieliśmy iść do pracy, zastaliśmy drzwi baraku zamknięte.

Zrozumieliśmy wszyscy, że to koniec. O siódmej rano wypędzili nas na dwór, dookoła pełno było gestapowców i Ukraińców. Ustawili nas ósemkami. Stanęliśmy w ósmym rzędzie. Następnie kazali nam wsiąść na fury. Siadłam z siostrą moją i kuzynką na furze, mówiłam do nich żeby każda uciekła z osobna, bo we trójkę nie damy radę. Nie zgodziły się na to wtedy. Kazałam im trzymać nogi na zewnątrz fury, a w razie okazji uciekniemy. Na przodzie fury jechał policjant, koło nas siedział Ukrainiec. Przysiadłam się do niego i powiedziałam: „Daj nam uciec. Ty chcesz żyć i my chcemy żyć. Daj nam uciec”. Nic nie odpowiedział mi. Po pewnym czasie, gdy wjechaliśmy na wieś powiedziałam do siostry i kuzynki, uciekajmy... Zeskoczyłyśmy z fury, biegłyśmy naprzód, a fury ze straceńcami jechały w dal na miejsce kaźni do Sobiboru. Szłyśmy stale naprzód. Chłopi zobaczyli nas, zabrali nam wszystko, ale cóż znaczyły rzeczy, gdy walczyło się o życie. Doszliśmy do wioski, nazwy nie pamiętam, jakiś chłop nas zobaczył, ukrył przez dzień w stodole. O zmierzchu wyszłyśmy. Miałam prowadzić siostrę i kuzynkę do mamusi, ale zabłądziłam.

Błąkałyśmy się, noc była ciemna. Unikałyśmy ludzi. Jakiś chłop podszedł do nas i powiedział: „Jesteście Żydówkami. Zaprowadzę was na żandarmerię”. Myśmy zaprzeczyły, ale on nie dał się zbić z tropu. Na szczęście przyszły dwie chłopki, kuzynka podeszła do nich mówiąc im dobry wieczór. Chłop wycofał się. Uwierzył, że jesteśmy Polkami. Brnęłyśmy dalej przez pola pełne wody, a psy szczekały dookoła. Chowałyśmy się w psich budach, aby warta nas nie złapała i tak doszłyśmy do Marysina. W Marysinie warta zobaczyła nas, zapukałyśmy do pierwszych drzwi, otworzyli nam i wepchnęli w kąt, gdy nagle ktoś zapukał w drzwi i spytał: „Sołtysie, czy nie przechodziły tędy Żydówki?”. Sołtys odpowiedział, że nikogo nie widział.

Weszłyśmy do mieszkania, gdzie siedziała cała rodzina. Zazdrościłyśmy im, ale nie wiedziałyśmy, co z nami zrobią. Sołtys dał nam jeść zaprowadził do stodoły i przenocował. Nazajutrz syn sołtysa zaprowadził nas na Chojny, gdzie była mamusia. Byliśmy wszyscy u Hołubowej do Bożego Narodzenia. Potem nie chciała nas trzymać. Ja z mamusią i z Dziunią zostałyśmy u niej, tatuś u Hachaja, a Frania z Helą u Tupajki. Życie było straszne. Chłopi wygnali nas od siebie. Hela z Franią leżały na przypiecku. Hela z leżenia miała rany ropne. Chłopi nie chcieli nas już trzymać. Ukrywaliśmy się po stertach, stodołach, w polu bez nadziei na lepsze. Tatusia Hachaj nie chciał trzymać. [Tatuś] ukrywał się w żłobie ze świniami, końmi, leżał w gnoju, nie mając co jeść, ale i stąd go wygonili. Za przechowywanie dawaliśmy rzeczy i pieniądze. Tatuś ukrywał się gdzie mógł. Pewnego razu dałam mu skórkę od chleba, wtedy pocałował mnie w rękę. Mój tatuś mnie pocałował w rękę za marną skórkę.



Mamusia złamała rękę – spadła ze strychu. Zmuszona była jechać do Lublina. Wyjechała z Helą. Po drodze znajomi chłopcy chcieli ich wydać, ale zdołały się ukryć w Lublinie. Hela została u pani Paślowskiej przy ulicy Szopena. Mamusia wróciła do nas, nie chciała nas zostawić. W tym czasie ukrywaliśmy się w szopach. Tupajka nas wyganiała. Wtedy kuzynka moja powiedziała, że idzie do znajomych na drugą wieś, [gdyż] może tam jej się poszczęści.

Wyszła z rana i nie wróciła. Chłopcy wydali ją w ręce niemieckie. Rozstrzelali ją dnia 14 kwietnia 1943 r. Rozstrzelali w wieku lat 25. Nic nie zaznała na świecie. Odeszła od nas, a była nam taka droga i bliska.

Szwagier Tupajki wziął nas do stodoły, byliśmy tam przez trzy tygodnie. Jedliśmy razówkę z wodą, ale i stamtąd nas wygnali. Tatusz chodził nad rzeką w dzień, a w nocy zakradał się do stodoły. Pamiętam jak w Wielkanoc tatusz powiedział[, że] jak przeżyje będzie się modlił jak każdego Żyd... Przyleciał ptaszek do stodoły wtedy tatusz rzekł „sy a gity psyly a fajgały”.

Tualiśmy się gdzie można było. Później ja z mamą wyjechałyśmy do Lublina do Pani Paślowskiej. Dziunia została u Hołuba; a tatusia zostawiłyśmy u Tupajki, prosząc, aby przetrzymała go kilka dni. Zapłaciłyśmy jej za to, ale ona po naszym wyjeździe dała tatusiowi truciznę na szczury. Tatusz przyszedł do Dziuni i prosił o papier, gdyż chciał napisać do nas listy pożegnalne. Chyba przeczuwał koniec.

Dnia 4 maja 1943 r. gdy wiosna była w pełni a słońce świeciło Polacy zaprowadzili tatusia na policję. W dniu tym rozstrzelano go na śmietniku w Siedliszczu. Przed śmiercią prosił o życie.

O, tatusiu mój, coś Ty przecierpiał w tej chwili, gdy Cię zabijano, coś myślał, jaką zgrozę przechodziłeś? Wiem, jak chciałeś żyć, jak kochałeś życie. Czuję zgrozę tej chwili i nigdy nie zapomnę Cię. Byłeś nam wszystkim a zginąłeś tak nędznie, tylko dlatego żeś był Żydem.

Dziunia przyjechała do nas do Lublina. Zapukała wystraszona i opowiedziała o śmierci tatusia. Dziunię mamusia oddała do pani Matulewiczowej, gdzie ukrywała się na strychu z królikami. Helusia z mamusią były u pani Paślowskiej. Ja nie miałam się gdzie ukrywać. Ukrywały mnie pod siennikiem, który w dzień był złożony przy szafie w kuchni. Jak źle mi było tam siedzieć, jak gorąco. Ale i to było dobre. Później Paślowska nie chciała nas trzymać. Ukrywałyśmy się po strybach. Mamusia zapoznała się z panią Sokołowską, ta zgodziła się oddać mamusi małe mieszkanie. Mamusia za to szyla jej.

Mieszkałyśmy na ulicy Bychawskiej 113 tzn. mamusia ze mną. Później pani Sokołowska wyrobiła nam aryjskie papiery. Hela nie miała gdzie być, ukrywałyśmy Hele pod łóżkiem na desce. Po jakimś czasie pani Sokołowska pozwoliła wziąć do siebie Helę i Dziunię. Żyłyśmy tam, śpiąc na

jednym łóżku. Ale było to rajem w porównaniu ze wszystkim.

Nadszedł dzień 22 lipca 1944 r. Wojska Polskie i Radzieckie wkroczyły do Lublina. Powrócił nasz bart Józiek. Mamusia zaczęła chorować, miała raka i choć przeżyła wyzwolenie umarła dnia 15 sierpnia 1945 r. Umarła męcząc się cały rok. Umarła cicho tak jak żyła.

Gdy rośnie mała Geniusia imienniczka mamusi, mój synek Stasio imiennik tatusia mego, gdy rośnie Lenusia, Pawełek i Zbyszek nie zapominam nigdy o tej Gieni i o tym Samuelu, co życie dla nas poświęcili, o tych wszystkich, co tak marnie zginęli.

I choć życie toczy się nadal, ale w sercu pozostała rana, która zablźnić się nie da i jeśli jest Bóg i widział cierpienie nasze, to wierzę, że ujrzę jeszcze mamusię i tatusia szczęśliwych.

Koniec

Napisała Czesława z d. Waksman

Łódź, dnia 7 czerwca 1955 r.